

Czwarty

Roman Kołodziejczyk żołnierz 1920 i AK, działacz endecki- przeciwnik Piłsudskiego.

Mój ojciec Roman Kołodziejczyk, znana swego czasu postać w Szczepieszynie, nauczyciel, prezes Koła Kombatantów AK, niezapomniany, kilkunastoletni prezes Klubu Seniorów, urodził się w Szczepieszynie, wówczas w zaborze rosyjskim, 28 lutego 1904 r. Przed nauką w dwu klasowej szkole elementarnej (ludowej) z programem „nauczanie czytania, pisania i 4 działań matematycznych” musiał uczęszczać do tzw. wstępnielnowo oddzielenia- wstępnego oddziału. Uczyli tam w języku rosyjskim zarówno Rosjanie, jak i „pirekińczyki”- ludzie, którzy przeszli na prawosławie. Ci, jak wszyscy neofici, byli gorsi niż nauczyciele rosyjscy. Metodą wychowawczą był kij.

W 1915 r., po zajęciu Szczepieszyna przez wojska austriackie, Roman rozpoczął naukę w nowo otworzonej, polskiej siedmioklasowej szkole powszechnej, którą ukończył w 1922 roku mając lat 18. Był harcerzem, czy jak wtedy mówiono skautem, w drużynie założonej i prowadzonej przez nauczycielkę, panią Jadwigę Cybulską.



Fot. Jerzy Józwiakowski

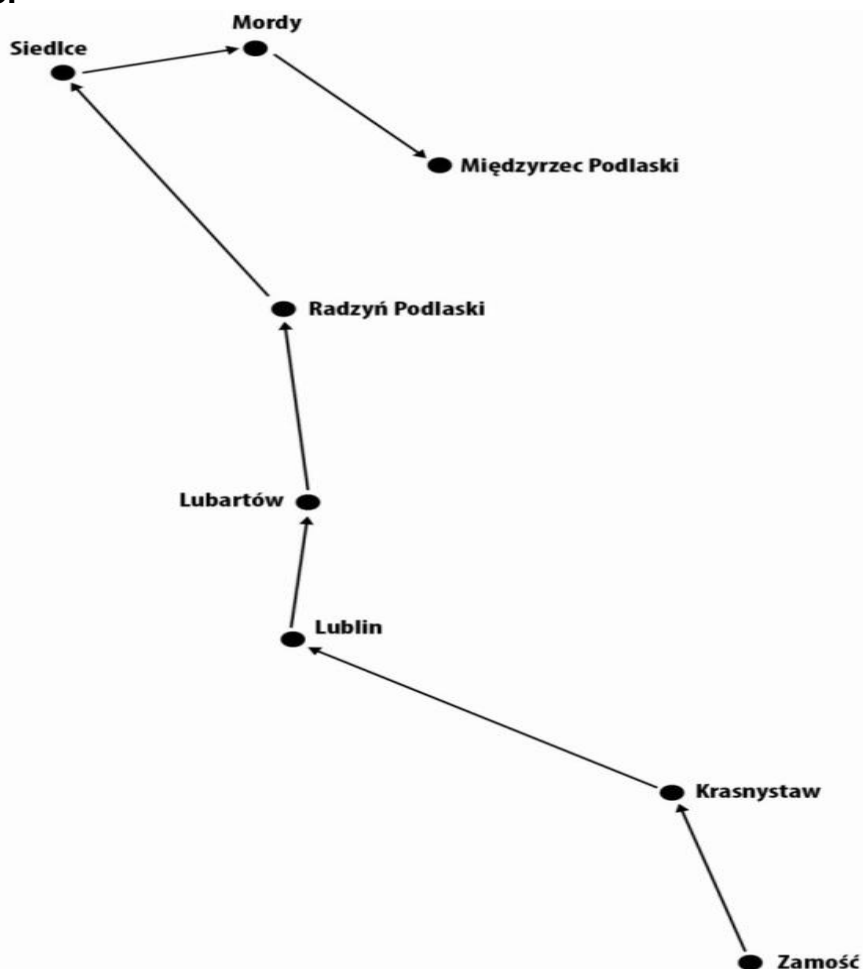
Rok 1917. Drużyna harcerska w Szczepieszynie. Czwarty od lewej w ostatnim rzędzie stojących chłopców Roman Kołodziejczyk. W środku nauczycielka Jadwiga Cybulska. Po jej lewe ręce siedzą: drużynowy Stefan Józwiakowski, a obok niego jego przyszła żona Irena Pawłowska. Pierwszy siedzący z prawej w dolnym rzędzie- Henryk Pawłowski

Ojciec zatajając swój młody wiek (16 lat) zgłosił się w 1920 r., wraz z kilkunastoma innymi mieszkańcami i harcerzami ze Szczepieszyna (lista ochotników ze Szczepieszyna patrz www.szczepreessyn.pl „Zygmunt Klukowski rok 1920 w Szczepieszynie”) do tworzonego w Zamościu przez mjr

Jaworskiego, II-go Szwadronu Jazdy Ochotniczej. Szwadron liczył około 150 żołnierzy.

Pierwszy szwadron, w którym służył m. in. ojciec gen. Jaruzelskiego, zorganizowany wcześniej, został już wysłany na front w okolice Tomaszowa Lubelskiego.

„Szlak bojowy” drugiego ochotniczego szwadrony jazdy mjr Jaworskiego w którym służył ojciec: z Zamościa do Międzyrzecza Podlaskiego.



Nie pamiętam, aby ojciec opowiadał o swoich wojennych przeżyciach „całościowo”, jedynie fragmentami przy różnych okazjach, w nawiązaniu do bieżących zdarzeń.

Mając 87 lat, na cztery lata przed śmiercią, udzieli wywiadu-wspomnień z dzieciństwa w zaborze rosyjski, roku 1920 i swojej pracy nauczycielskiej w dawnym woj. Nowogródzkim. Wywiad został umieszczony w książce „Czas hieny”, wśród wielu innych opowiadań, jako „Lekcja Zapomnianej Historii”.

Autor książki, zgodnie z jej literacką konwencją, zbeletryzował wspomnienia ojca wkładając je w usta fikcyjnej pani Krystyny, jako opowieść o Panu Romanie. Trzeba sobie wyobrazić, że pani Krystyna jest organizatorką fikcyjnego pleneru malarskiego i zabawia malarzy, odpoczywających wieczorami po całym dniu pracy, różnymi opowieściami. Jej opowieść, a właściwie autora książki, o panu Romanie, jest dobrze oddana w stylu opowiadań ojca- „gawędziarskim”, zawsze z licznymi dygresjami, często bez

chronologii. Szkoda, że nie można tego usłyszeć, z charakterystyczną intonacją głosu, śmiechem czy oburzeniem.



Roman Kołodziejczyk w wieku 85 lat

Niestety autor wywiadu i książki nie zgodził się na wybiórcze użycie w niniejszym opracowaniu samych tylko wspomnień ojca, z pominięciem późniejszej fikcyjnej dyskusji uczestników fikcyjnego pleneru malarskiego.

Zaproponował mi umieszczenie całości, na co nie mogłem się zgodzić, bowiem zmyślona „dyskusja” nie ma nic wspólnego ze wspomnieniami ojca a w rzeczywistości jest poglądami autora książki, opiera się na faktach sięgających roku 2010, kiedy ojciec dawno już nie żył. Nie mogłem m.in. zgodzić na wręcz ubliżający ojcu zwrot, kiedy mówi o odebraniu mu prawa nauczania:

„Przeszedłem wszystko! Łącznie ze zwolnieniem z posady z wilczym biletem!

- Tu pies pogrzebany! – nie wytrzymał któryś z panów.”

Co sugeruje, że ojciec był przeciwnikiem Piłsudskiego, ponieważ został zwolniony z pracy. W rzeczywistości było odwrotnie- zostało mu odebrane prawa nauczania za to, że był czynnym, ideowym przeciwnikiem Piłsudskiego.

Przyczyn mojej odmowy jest więcej. Oto charakterystyczny przykład określający poglądy polityczne „dyskutującej” grupy:

„Zależy, co, kogo i na ile boli. Jeżeli marszałek sejmu drwi z urzędującej głowy państwa, która gdzieś w Gruzji hamuje imperialne zapędy Rosji, albo z kolegą premierem ustawiają z Sowietami rocznicę mordu w Katyniu tak, by nie mógł tam pojechać prezydent Rzeczpospolitej, jest coś na rzeczy. Należy postawić pytanie: czy to już zdrada, czy jeszcze duractwo?

- Albo sprzątnięcie prezydentowi samolotu przed nosa...

- Wy mówicie o gówniarzach, nie politykach.

- Wygląda na to, że gówniarze rządzą. Mają realną władzę. Taki poseł zgarnia w miesiąc twoją dziesięciokrotną miesięczną pensję. Nie możesz się leczyć, bo cię nie stać, choć zusy-srusy zabierają ci jedną trzecią dochodu, ledwo ci starcza na wegetację. Media są nakręcone tak, że cię tumanią zamiast podawać rzetelne informacje, sądy nakręcone w ten sposób, że niczego nie wyegzekwujesz tą drogą. Bandyci chodzą wolno po ulicach i dźgają nożami każdego, kto im się nawinie, albo, kogo zechcą. Nie wiem czy to już aura wszechobecnego, dookólnego skurwysyństwa, czy tylko jej zwiastun”.

Autor wstrzymał się tylko od oskarżenia „rządzących gówniarzy” o zamordowanie prezydenta.

Czy taka byłaby opinia ojca w tych sprawach?

Dlatego pisząc o ojcu muszę się opierać na „wspomnieniach rodzinnych”, trochę bardziej skąpych w fakty niż te, które są umieszczone w książce, nad czym ubolewam. Nie będzie też stylu „gawędziarskiego”- mój zapis jest „kronikarski”.

Przed wojną byłem za mały żeby słychać opowiadań ojca. Po drugiej wojnie światowej ojciec niezbyt często wracał do jego „prehistorycznych” przeżyć, kiedy nowe były tuż „za plecami”. Miałem 17 lat, gdy w praktyce opuściłem dom. Mnie i ojca dzieliła epoka- on żył ciągle w przeszłości, ja w ciężkiej, powojennej rzeczywistości. Dla niego literatura polska kończyła się na XIX wiecznym Sienkiewiczu- traktował jego książki niemal, jak książki do nauki historii. Dla mnie były to bardzo zgrabnie, z talentem napisane książki z gatunku miłość i szpada na tle historycznym. Pisane wg jednego schematu począwszy od „Quo Vadis”: najpierw szalona miłość od pierwszego wejrzenia, potem ogromne trudności na tle przesadzonych literacko zdarzeń historycznych, ze szczęśliwym zakończeniem- innym tylko w „Panu Wołodyjowskim”.

Sienkiewicz wiedział, że wyolbrzymia zdarzenia historyczne, „podbarwia” je dla podniesienia atrakcyjności książki. Wywyższa naszych a poniża obcych, co jest takie miłe dla polskiego ucha. I usprawiedliwia się, że pisze tak „Dla pokrzepienia serc”. Często pisał „na kolanie”, nocami w hotelu, jeżdżąc z jedną ze swoich pięciu żon i ratując jej zdrowie w różnych zagranicznych uzdrowiskach. Musiał, więc pisać atrakcyjnie, aby być czytany i zarabiać pieniądze na pobyty w kurortach.

Dlaczego o tym piszę? Aby powiedzieć, że moje zainteresowanie przeżyciami ojca z roku 1920 nie było zbyt wielkie na tle tych z ostatnie wojny, które „były żywe i moje”. Dzisiaj żałuje tego, jak i niespisanie innych historii rodzinnych. Sądzę, że żałuje tego sporo starszych ludzi, młodzi nadal nie przywiązują do tego wagi.

*** * ***

Przed wspomnieniami ojca trochę historii i geografii terenu, na którym to się działo. Podczas rozbioru Polski b. księstwo Halicko-Włodzimierskie, od roku 1434 Województwo Ruskie, zostało włączone do monarchii Austro-węgierskiej, jako Galicja. Pełna, oficjalna nazwa: Królestwo Galicji i Lodomerii. Galicz to rusiński Halicz, a austriackie imię Lodomer to polski Włodzimierz. Tak powstała nowa nazwa dawnego księstwa Halicko-Włodzimierskie, którego władcą w XIV wieku, po śmierci Kazimierza Wielkiego, był król Ludwik Węgierski, od roku 1380 król Polski, syn siostry Kazimierza

Wielkiego Elżbiety i ojciec Jadwigi. Spadkobiercami tych ziem czuli się, więc austrowęgierscy Habsburgowie.

W województwie Ruskim wykształciły się ziemie: Halicka, Przemyska, Sanocka i Chełmska, w której znajdował się Szczepczeszyn. Ziemie w XV wieku nie były już jednostkami administracyjnymi, były, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, okręgami sądowymi, powołanymi dla wykonywania władzy sądowniczej w imieniu króla, który po rozroście państwa nie mógł tego wykonywać, jak wcześniej, osobiście. Sądy odbywały się naprzemiennie w dwóch lub trzech powołanych do tego powiatach (w ziemi chełmskiej Chełm i Krasnystaw), która to nazwa wywodziła się od słowiańskiego „dnia powietnego”, na który to dzień był zwoływany wiec plemienny, zajmujący się m.in. rozsądzeniem skarg i spornych spraw.

Galicja ze swoim samorządem terytorialnym- Sejmem Galicyjskim urzędującym we Lwowie, miała dużo samodzielności i swobód w sprawach gospodarczych, powszechnego nauczania, politycznych- były tam partie polityczne, a nawet wojskowych- patrz sprzymiężone z Austrią Legiony Piłsudskiego.

W roku 1809 Książę Józef Poniatowski pobił wojska austriackie i oderwał z Galicji i Lodomerii Ziemię Chełmską, od Drohiczyzna na północy do linii Kraków- Sandomierz, Bełz na południu i włączył ją do stworzonego przez Napoleona Księstwa Warszawskiego. Po klęsce Napoleona Księstwo Warszawskie znalazło się w zaborze rosyjskim, a ziemia Chełmska wraz ze Szczepczeszynem najpierw w Guberni Lubelskiej, a po 1863 r. w Chełmskiej. I przez 123 lata żyła, jak cała Rosja w ciemnocie, analfabetyzmie, zacofaniu i wszystkim tym, co dzisiaj ogólnie nazywamy martyrologią naszego narodu. Mieliśmy szczęście do takich zwycięstw. Sobieski wydatnie pomógł wojskom niemiecko-austriackim pod wodzą Jana Luksemburskiego złamać potęgę Turcji, która przez wieki trzymała za gardło Austrię i Rosję. W sto lat później Rosja i Austria, niegnębione przez Turcję, urosły i odwdzińczyły się nam rozbiorami.

Co pamiętam ze wspomnień ojca

Po zakupieniu twierdzy zamojskiej przez carat, dawną Akademię Zamojską przeniesiono w latach 20-tych XIX wieku do Szczepczeszyna, jako szkołę wojewódzką. Uczniami jej były dzieci szlachty i zamożniejszych mieszczan Szczepczeszyna. W odpowiedzi na niepodległościowe demonstracje młodzieży i udział w konspiracji przedpowstaniowej szkołę w 1852 r. zamknięto. W jej budynkach umieszczono piechotę rosyjską, a na ulicy Trębackiej sotnię kozaków- wg ojca Czerkiesów.

W powstaniu styczniowym wzięło udział sporo uczniów b. Szkół Szczepczeskich i mieszkańców Szczepczeszyna. Wstąpili oni do liczącej około 200 osób partii powstańczej Lelewela-Borelowskiego. Partia ta była słabo uzbrojona- trochę dubeltówek, kos a nawet specjalne, grube, mocne dębowe kije, która to „broń” miała być przydatna w walce wręcz, jak i sypanie przeciwnikom w oczy mialkim piaskiem niesionym w specjalnych torbach.

Powstańcy mieli plan zaatakowania szczepczeskiego garnizonu wojsk rosyjskich i zdobycia w ten sposób broni. Piechota po przyjeździe z lasów zza Brodzkiej Góry i przejściu przez most na Brodzie Wołoskim miała atakować od strony klasztoru, kawaleria zaś, po przejściu Brodu Starego, od strony

Przedmieścia Zamojskiego. Ale Rosjanie byli w pogotowiu. Obserwator na wieży klasztornej zobaczył kilkuset ludzi nadchodzących od strony Brodów i zadzwonił w dzwony. Konny oddział powstańców ostrzelany z budynków dzisiejszego liceum przejechał tylko galopem przez miasto.

Potem powstańcza partia przeszła do Zwierzyńca ścigana przez wojsko. Pierwsza potyczka z Rosjanami została rozegrana w Zwierzyńcu, tam gdzie dzisiaj znajduje się pomnik- mogiła. Powstańcy wycofali się do Panasówki i tam stoczono bitwę. Po obu stronach były duże straty.

W powstaniu brał udział dziadek ojca Franciszek Kołodziejczyk- stąd ojcowskie wiadomości.



Franciszek Kołodziejczyk 1828- 1910

Po powstaniu Franciszek, wraz z innymi, ukrywał się w folwarku Wiszenki pomiędzy Izbicą a Skierbieszowem, obok którego były lasy a przysłowiowy diabeł mówił dobranoc. Jeszcze dzisiaj trudno tam się dostać. Folwark dzierżawił Józef Lotz. Ukrywał powstańców zatrudniając ich na różnych stanowiskach i za tę pomoc wg tradycji rodzinnej Lotzów, został zamordowany przez kozaków. Mieszkańcy sąsiednich wsi byli w przeważającej części greko katolikami, najczęściej przymuszeni już do powrotu do prawosławia. Niewykluczone, że ktoś powiadomił władze o przechowywaniu powstańców. Chłopi nie kochali panów i powstańców. Przypomnieć tu należy powieść Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Kozacy zaczęli poszukiwania. Lotz osobiście wywiózł b. powstańców w inne miejsce. Kiedy

wracał prawdopodobnie spotkał go oddział Kozaków. Do Wiszenek konie przyciągnęły podobno sanie z trupem.

Zmuszanie do przyjęcia prawosławia było powszechne, nie ominęło samego Szczebrzeszyna i okolic. Przymuszano nie tylko grekokatolików, ale wykorzystując każdą sytuację, także rzymsko katolików. Prawosławny pop o nazwisku Tracz- polakożerca, który kierował parafią prawosławną w Szczebrzeszynie korzystał z każdej okazji. Oprócz istniejącej cerkwi zabrał katolikom kościół klasztorny i przemienił go na cerkiew. Sam budynek klasztoru obsadziły prawosławne mniszki, które od roku 1812 r. prowadziły tam szpital. Utrudniał rzymskokatolickiemu księdzu udzielania chrztów, ostatniego namaszczenia i pogrzebów. Udzielał je najczęściej sam pod przymusem asystujących mu żandarmów. Wielokrotnie opowiadał ojciec, jak takiego namaszczenia udzielono stryjowi jego matki. Wielu ludzi przechodziło nielegalnie przez niedaleko położoną granicę z Galicją, aby tam wziąć ślub, lub ochrzcić dzieci.

* * *

Naukę w polskiej szkole powszechnej, jak napisałem wyżej, ojciec rozpoczął w, 1915 r., kiedy to, po zajęciu Szczebrzeszyna przez wojska austriackie, nie tylko otworzono 7-cio klasową szkołę powszechną, ale utwardzono drogę do Zwierzyńca przez Brody Małe i Żurawnicę, która od tej pory zastąpiła odwieczną drogę przez Kawenczyn i Topólcę. Utwardzono także drogę do Zamościa i doprowadzono do Szczebrzeszyna linię kolejową.

Po zakończeniu roku szkolnego 1920 ojciec, wraz z innymi, zgłosił się do punktu zbornego ochotników w Zamościu i został wcielony do drugiego szwadronu jazdy majora Jaworskiego. Zostali zakwaterowani w budynku poklasztornym Franciszkanów odebrany zakonnikom przez cara, późniejszym długoletnim kinie „Stylowy”, dzisiaj znowu świątynią. Ponieważ panowała powszechnie czerwonka zostali niezwłocznie zaszczepieni. Nie ustrzegło to jednego z nich, Romualda Czernickiego- umarł po kilku dniach.

Zostali wyposażeni w lance i karabiny, niestety nie krótkie kawaleryjskie, lecz długie karabiny piechoty. Były bardzo niewygodne podczas jazdy konnej- obijały się o plecy i siodła. Ćwiczone z nich strzelanie na strzelnicy. Ćwiczone także jazdę konną. Polegała ona na tym, że koń trzymany na kilkometrowej linie biegł klusem w koło a przyszły ułan musiał wskoczyć na konia w biegu trzymając się łąku siodła. Dla ojca nie było to zbyt trudne. W rodzinie jego babki po kądzieli, Marianny Patro, rolników w Kawenczynie były konie. Podobno nawet trzy. Jeździło się na nich z innymi chłopakami do wodopoju, na pastwisko, lub na pławienie i mycie koni w rzece Wieprz. Urządzano wyścigi- z końmi i ich obrządzaniem był mój ojciec za pan brat.

Ojciec był sprawny fizycznie i silny. Najlepiej świadczy o tym zdobycie pierwszego miejsca w biegu na pięć tysięcy metrów i nagrodę za ten wyczyn: zegarek z wisiorkiem w kształcie strzemienia. Zegarek był srebrny z wygrawerowanym na kopercie napisem: „Romanowi Kołodziejczykowi za zwycięstwo w biegu na 5.000 metrów- Sejmik Zamojski” i data, której już nie pamiętam. Będąc podrostkiem zegarek rozebrałem, aby sprawdzić, co też znajduje się w środku. Oczywiście nie umiałem go złożyć z powrotem i powoli poszczególne elementy zawieruszone ginęły.

Szwadron był używany w czasie pobytu w Zamościu, jak myślę w charakterze ćwiczeń, do służby rozpoznawczej. Najdłuższy rajd prowadził aż do Werbkowic.

Fala bolszewickich wojsk przybliżała się do Zamościa- na tym odcinku działała kawaleria Budionnego. Szwadron musiał zmienić miejsce postoju. Przy wyjeździe z Zamościa mieszkańcy serdecznie ich żegnali, panie przypinały im kokardki podobne do tych z 1863 r. Przerzucono ich w okolice Puław, omijając Lublin polnymi drogami. Pierwszy nocleg wypadł w Izbicy, Krasnystaw minęli nocą. Droga była bardzo uciążliwa, nikt wcześniej nie odbywał tylu godzin jazdy na koniu. Nogi puchły. Nogi i pośladki bolały.

Na nowym miejscu postoju ojciec, który był zwinny i wykazywał się świetną orientacją w terenie został przydzielony do plutonu sztabowego, który nie tylko ochraniał sztab, ale także był plutonem rekonesansowym. Potem ruszyli do Turowa koło Radzyna Podlaskiego. Tam mieli dłuższy postój typowo wojskowy- sztab w dworcu, wojsko we wsi. Tam po raz pierwszy zobaczył majora Jaworskiego, który do tej pory przebywał na Wołyniu.

Był to najczęściej wspomnianym przez ojca okres w jego „wojennej epopei”. Bliskość frontu, wycofujące się w nieładzie po bitwie warszawskiej oddziały sowieckie były dookoła- przed, za i obok nich. Dano znać, że w pobliskim lesie biwakuje prawdopodobnie oddział bolszewickiej artylerii. Ojciec poszedł na ochotnika, jako zwiadowca. Szedł cicho z „sokolim” okiem wbitym w ciemność. Okazało się, że w lesie biwakował oddział artylerii- cztery armaty i obsługa. Uderzyli całym spieszoną szwadronem- zdobyte armaty zagwożdżono.

Następny bardzo zapamiętany epizod to wyjazd, jako przyboczny (luzak) oficera do Radzyna Podlaskiego. Zapamiętany pewnie dlatego, że na wyprawę dostał karabinek kawaleryjski i nagan. Był to bębenny rewolwer produkcji rosyjskiej o dość długiej lufie, celny i niezawodny, bardzo ceniony w wojsku. Dla 16-letniego chłopaka, który w dotychczasowym życiu nie miał nic do czynienia z bronią był to moment, który się najbardziej zapamiętało. Do Radzyna Podlaskiego jechali bardzo ostrożnie. Było ciemno, oficer liczył na dobry wzrok ojca wysyłając go pierwszego, choć sam miał lornetkę. Dojechali do słynnego pałacu Paców w Radzynie, gdzie ojciec spotkał swojego drużynowego z drużyny skautów Szczepreskich Stefana Józwiakowskiego- późniejszego lekarza Ordynacji Zamojskiej i dyr. szpitala w Szczepreszynie. Od niego dowiedział się, że zginął od rozrywającego się granatu Teodor Piotrowski drogomistrz ze Szczepreszyna, bliski sąsiad Kołodziejczyków mieszkający koło cerkwi,.

Kiedy szli do Bugu natknęli się w Mordach na oddział przeciwnika. Wraz z dowódcą plutonu sztabowego rotmistrzem białogwardzistą, jednego z pięciu, którzy dołączyli do szwadronu, uderzyli na nich.

Z Mord poszli w kierunku Międzyrzecza Podlaskiego. Tam na początku listopada szwadron rozwiązano- nie był już potrzebny. Starszą młodzież wcielono do oddziałów wojskowych, młodszą odesłano do szkół.

Dopiero, kiedy powrócił do domu dowiedział się o walkach koło Szczepreszyna, gwałcie w Klemensowie itp.

Ojciec często opowiadał o wyżywieniu. Przez wiele dni byli karmieni gotowanym grochem. Gotowanym a często niedogotowanym. Nauczyliśmy się, mówił, językiem wybierać ten niedogotowany i wypluć. Czasami i tego brakowało. Próbowano niestety kraść na własną rękę, lub wymuszać we dworach i wsiach. Szczególnie karmę dla koni. Ojciec nieraz prosił spotkane we wsiach kobiety mówiąc, że jest głodny. Na ogół mu nie odmawiano. Ale bywały całe dni bez jedzenia. W takiej sytuacji były nie tylko armia polska, ale

i bolszewicka- wszędzie kwatermistrzostwo nie było w stanie zaspokoić potrzeb. To też tereny, przez które przechodziło wojsko były ogołoczone z żywności. Urągano temu, który napisał piosenkę: „Jak to na wojence ładnie....”

* * *

Ojciec mój był, tak jak zdecydowana większość mieszkańców Szczepieszyna, członkiem partii Narodowa Demokracja, zwanej po prostu endecją od początkowych liter jej nazwy- ND. Nie tylko członkiem, ale i znanym działaczem partii, która była najliczniejszą partią w czasie tworzenia się państwa polskiego. Była ona w ostrej opozycji do Piłsudskiego. Jej prezesem był Roman Dmowski, a po odejściu Dmowskiego na „polityczną emeryturę”, Maurycy hrabia Zamoyski. Dzisiaj z szerokiego programu narodowego tej partii pozostała tylko wiedza o jej antysemityzmie, w której celował jej odłam „Falanga”. Ostatni raz, jako działacz endecji, wystąpił ojciec w latach 90-tych ubiegłego wieku, kiedy wraz z ostatnim ordynatem hr. Janem Zamoyskim, odsłaniał tablicę pamiątkową ku czci Maurycego Zamoyskiego na gmachu b. Akademii w Zamościu.

Ojciec, jak wszyscy endecy, oskarżał Piłsudskiego o dwa zamachy stanu, przegraną wojnę o Kijów, o pomoc Leninowi w pobiciu białogwardystów i związanym z tym zwycięstwem komunizmu w Rosji.

Oto wersja tych wydarzeń wg Narodowej Demokracji. 15 sierpnia 1917 powstał w Szwajcarii, a działał w Paryżu KOMITET NARODOWY POLSKI, któremu podlegała licząca około 100.000 żołnierzy tzw. Armii Hallera. **Przewodniczącym Komitetu** był Roman Dmowski, członkami: I.J. Paderewski, E. Piltz, M. Seyda, Maurycy Zamoyski oraz Jan Emanuel Rozwadowski – sekretarz KNP.

KPN był uznany w roku 1917 przez rządy Francji (20 września), Wielkiej Brytanii (15 października), Włoch (30 października), USA (10 listopada) za oficjalnego reprezentanta odradzającej się państwowo Polski. KNP posiadał swoje przedstawicielstwa w Belgii, Italii, Szwecji, Brazylii, Wlk. Brytanii i USA. W USA Komitet reprezentował Ignacy Paderewski, przyjaciel prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona, u którego zabiegał, aby Polska uzyskała niepodległość. I rzeczywiście prezydent Wilson, w wygłoszonym 8.1.1918r. przed Kongresem Amerykańskim orędziu zawierającym tzw. 14 punktów Wilsona, zapowiedział w punkcie 13-tym, utworzenie niepodległej Polski z dostępem do morza. 10 miesięcy przed przyjazdem Piłsudskiego do Warszawy.

Jeden z historyków powiedział, że 16.000 legionistów Piłsudskiego, walczący po stronie Niemiec i Austrii, daleko mniej zrobiło dla niepodległości Polski, niż dwóch ludzi- wybitny pianista Ignacy Paderewski i niezwykle wytrawny dyplomata i twardy negocjator Roman Dmowski, który dał tego dowody w czasie negocjacji Traktatu Wersalskiego. Wywalczył m.in. daleko lepszy kształt wschodniej granicy Polski niż zaproponowana Polsce linia Curzona. Przebieg tej linii przedstawiony przez min. Spraw Zagranicznych Anglii Curzona (czytaj Kur zona) oparty był na „Deklaracji Rady Najwyższej Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych w sprawie tymczasowej granicy wschodniej Polski” z 8 grudnia 1919 roku. Linia Curzona została wcielona w życie dopiero w roku 1944.

Zwycięskie państwa Ententy nie zaprosiły Piłsudskiego do rozmów pokojowych odbywających się w Paryżu w dniach 18.1.1919- 21.1.1920 r., ani do podpisania Traktatu Wersalskiego. Traktat ten w imieniu Polski podpisali

28.6.1919 r. Paderewski i Dmowski, jako „pełnoprawni reprezentanci Rzeczypospolitej Polskiej do podpisania traktatu wersalskiego”.

Wg ojcowskiej ND-ecji, Piłsudski w listopadzie roku 1918 zdobył władzę w skutek zamachu stanu zorganizowanego przez Niemców, poprzez powołaną we wrześniu 1917r. przez Niemców i Austrię Radę Regencyjną. Rada była formalnie najwyższą tymczasową władzą w Królestwie Polskim, w jej skład wchodził: książę Zdzisław Lubomirski, arcybiskup A. Kakowski i hrabia. J. Ostrowski.

Niemcy przegrywały wojnę na wschodzie, pozostawiając tam liczną armię, a w samych Niemczech zaczynała się lewicowa rewolucja. Niemiecki rząd i Sztab Generalny, chcąc uratować armię i przeprowadzić ją spokojnie przez Polskę do Niemiec, przywiezły do Warszawy, pociągiem złożonym z jednego wagonu, Józefa Piłsudskiego, którego od początku wojny uważały za swojego sojusznika. Przyjazd ten tak wspomina Jan Lubomirski bratanek przewodniczącego Rady Regencyjnej: „Mój wuj, Zdzisław Lubomirski był członkiem Rady Regencyjnej w okresie 1917- 1918. Był to moment zwrotny dla Rzeczypospolitej, który implikował wiele późniejszych zmian dla naszego kraju. 7 października 1918 r. w Monitorze Polskim Zdzisław Lubomirski ogłosił niepodległość Polski i stworzył w ramach Rady Regencyjnej podwaliny wszystkich ministerstw w Polsce, które później zostały przejęte przez Piłsudskiego. Miesiąc później do Polski wrócił Józef Piłsudski. Na dworcu w Warszawie na Piłsudskiego czekało pięć osób. Mój przodek zabrał marszałka do swojej powozu i zwiózł go do pałacu na Frascati. Usłyszał od Piłsudskiego, że ten jedzie do Lublina, bo tam Daszyński ma dla niego przygotowany rząd. Oczywiście oznajmił tę nowinę w bardzo dosadnych słowach. 14 listopada Zdzisław Lubomirski, pro publico bono, zrzekł się władzy na rzecz Piłsudskiego, stosując tym samym naszą odwieczną maksymę rodową: „Patriam Versus”-- Ku Ojczyźnie”.

14.11.1918 r. Rada Regencyjna powołała Piłsudskiego na naczelnika wydziału wojskowego, a 22.11.1918 r. na naczelnika państwa.

Romanowski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego i PAN, pisze w roku 2008: „Piłsudski mógł wziąć władzę od zrewoltowanej ulicy lub przynajmniej od POW (tajna Polska Organizacja Wojskowa licząca w 1918 r. około 10.000 żołnierzy), której komendantem był Edward Rydz-Śmigły, a w każdym już razie od „rządu lubelskiego”, w którym premierem był bliski mu socjalista Ignacy Daszyński i w którym Rydz miał tekę ministra wojny. Piłsudski wziął jednak władzę z rąk Rady Regencyjnej- instytucji, która wprawdzie zdążyła się już wyemancypować spod władzy okupanta, ale która w odbiorze społecznym nie przestała być tworem powołanym przez zaborcę, a więc „kolaboracyjnym”. I więcej jeszcze: „Piłsudski nie dopuścił do jakichkolwiek wystąpień przeciw stacjonującej w Polsce armii niemieckiej. Ba, armię tę wziął pod swoją opiekę!”. Z polecenia Piłsudskiego płk. Boerner, jak wspomina jego syn, z samej Warszawy 22-oma zorganizowanymi pociągami wyprawił do Niemiec ponad 26.000 Niemieckich żołnierzy.

Wg. ND-cji Piłsudski wstrzymał na telefoniczną prośbę Lenina (też socjalista działający m.in. w Galicji) na 6 tygodni naszą ofensywę na Kijów. Lenin dzięki temu mógł przerzucić wszystkie wojska na walkę z prawie już zwycięskim Denikinem, (który deklarował jednak, że Polska jest częścią Rosji), a po zwycięstwie nad nim całą armią uderzył na wojsko polskie i doszedł aż do

samej Warszawy. Pogrzebane zostały nadzieje na utworzenie niepodległej Ukrainy, bufora między Polską a Rosją, a w Rosji zwyciężył bolszewizm.

Gdy bolszewicy dochodzili do Warszawy Piłsudski podpisał plan operacyjny sporządzony przez szefa Sztabu Generalnemu gen. Rozwadowskiego przy wydatnej pomocy Francuskiej Misji Wojskowej, załamał się nerwowo, złożył dymisję na ręce premiera Witosa i przed bitwą nad Wisłą wyjechał do żony. Pojawił się po kilku tygodniach. Po pewnym czasie gen. Rozwadowski zniknął i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nim stało, Piłsudski zaś „został” zwycięzcą bitwy warszawskiej. Za zamach stanu w listopadzie 1918 r. i drugi zamach w maju 1926 r., oraz za przywłaszczenie sobie zasługi zwycięstwa w wojnie 1920 r., ND-ecja żądała postawienia Piłsudskiego przed sądem. Wg niej wojna 1920 r. wygrana została dzięki nadzwyczajnemu zrywowi wszystkich warstw narodu polskiego i genialnemu planowi gen. Rozwadowskiego pobicia bolszewików opracowanym przy pomocy francuskich oficerów współpracujących ze sztabem polskim (m.in. późniejszy prezydent Charles de Gaulle). Jak podaje prof. Marian Marek Drozdowski Rada Miasta Stołecznego Warszawy wyraziła swoją uchwałą podziękowanie generałowi Maxsime Weygandtowi, przewodniczącemu francuskiej misji wojskowej w Polsce za opracowanie i wdrożenie planu obrony Warszawy przed bolszewikami.

Myślę, że dosyć wiernie opisałem ówczesną historię Polski wg Narodowej Demokracji, a także „wiarę i działalność polityczną” ojca.

Co do wiary katolickiej- był głęboko wierzący i praktykujący.

W drugiej połowie lat 30-tych ubiegłego wieku, po śmierci Piłsudskiego sejm uchwalił ustawę o ochronie nazwiska i działalności Piłsudskiego (sposób wyborów do tego sejmu patrz: www.szczebressyn.pl - wspomnienia Zygmunta Klukowskiego). Ustawa przewidywała kary do 5 lat więzienia m.in. za krytykowanie działalności Piłsudskiego. Szeroko z tej ustawy korzystano, sporo działaczy i posłów opozycji osądzono i osadzono w twierdzy Brzeskiej i Berezie Kartuskiej- tutaj już bez sądu tylko decyzjami starostów, które to stanowiska, jak i ministerstwa obsadzano w większości skierowanymi do cywila pułkownikami, (także m.in starostwo w Zamościu). W twierdzy Brzeskiej i Berezie więźniów bito i poniżano zmuszając np. do mycia szczoteczkami do zębów latryny itp. Wielu- wśród nich Sikorski, Witos, Korfanty- uciekło przed prześladowaniem za granicę.

Władze rozpętały nagonkę na nieposłuszny im Związek Nauczycielstwa Polskiego. Rugowały nauczycieli, którzy nie szerzyli kultu marszałka. Pamiętam, że przed 1939 r. dzień 19 marca, imieniny Józefa Piłsudskiego, był dniem wolnym od zajęć szkolnych i przeznaczony na uroczystą akademię „ku czci”, pełną piosenek i wierszy na jego cześć. Ckliwe o dzieciństwie „Ziuka”, potem poprzez jego czyny aż do wiersza: „hetmaniły nam hetmany...”, z którego wynikało, że żaden hetman w historii Polski nie dorastał Piłsudskiemu nawet do pięt. I pieśni „jedzie, jedzie na kasztance siwy strzelca strój, hej, hej komendancie miły wodzu mój...”.Trzeba przyznać, że cała machina państwa pracowała na kult „miłego wodza” tak sprawnie, że kult ten przetrwał do dzisiaj.

Po ukończeniu szkoły powszechnej ojciec rozpoczął naukę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Szczebreszynie, które ukończył w 1927 r. Został nauczycielem w miejscowości Podzítwa. W/g Urzędowego Wykazu Miejscowości w Polsce z roku 1932: „Podzítwa wieś w gminie Raduń,

powiat Lida, województwo Nowogródzkie, poczta i telegraf Raduń, parafia prawosławna Pielasa, stacja kolejowa Bastuny 42 km”.

Wieś otoczona była takimi bagnami, że do Lidy położonej w linii prostej około 20 km, nawet w zimie nie można było przejść ani przejechać. (patrz www.szczebressyn.pl w dziale wspomnień „Wileńszczyzna i Szczebreszyn-lata 20-te i 30-te XX wieku”).

Drogą wiejską trzeba było jechać, czy iść do Pielasy (8km). Dalej 10 km drogą bitą piechotą, furmanką czy rowerem do Radunia (tam był kościół katolicki). Z Radunia już autobusem 23 km do stacji kolejowej Bastuny, stamtąd 16 km pociągiem do powiatowej Lidy, jeżeli jechało się służbowo do inspektoratu, czy innego urzędu, lub do lekarza. Jeżeli na zakupy, czy „do kultury” to w drugim kierunku 90 km do Wilna.

Uczył ojciec w szkole czteroklasowej. Jak wspominał mój przyjaciel Aleksander Piwowarek w takiej szkole uczył jeden nauczyciel. Łączone były klasy pierwsza z drugą i trzecia z czwartą. Program klas pierwszej i drugiej był realizowany każdorazowo w ciągu roku, natomiast w dwóch następnych przedstawiał wręcz kuriozalne rozwiązania: Do klasy trzeciej należało uczęszczać dwa a czwartej trzy lata. I tak; do klasy trzeciej uczęszczać mieli dziewięciu i dziesięciu latkowie, zaś do czwartej jedenastu, dwunastu i trzynastu latkowie. Odpowiednio istniały dwa i trzy rodzaje podręczników sygnowanych; kurs "A" i "B" dla kl. III, oraz "A", "B" i "C" do kl. IV. Dzieci były podzielone na grupy, z których każda podczas wspólnego uczenia się przerabiała inny program, od klasy pierwszej do czwartej. Ukończenie takiej szkoły nie dawało możliwości nauki w szkole średniej, a ich wiedza nabywana w tak połączonych grupach była zapewne- pożał się Boże.



Młody nauczyciel Roman Kołodziejczyk

Miejscowa ludność nie chciała szkoły polskiej, chciała białoruskiej. Odmowy posyłania dzieci, świadczeń na rzecz szkoły np. ogrzewania, nocne napady na szkołę itp. były na porządku dziennym. Za poradą władz szkolnych ojciec wyposażył się w rewolwer. Z drugiej jednak strony został w tej Podzittwie ojcem chrzestnym Kazimierza, którego nazwiska już nie pamiętam.

Co robić przez cały rok oprócz pracy, gdy jest się młodym? Czasami jechać się do Wilna. W niedzielę 18 km do kościoła w Raduniu. Polować. Jeździć po kuligach. Flirtować na zabawach i spotkaniach nauczycielskich. Tak poznał ojciec młodą nauczycielkę Stefanię Bielańską uczącą w zaścianku szlacheckim Pocieluńce. 25.08. 1929 r. wzięli ślub.



Wilno- trzech szczeczeskich przyjaciół. Od lewej Józef Spoz student medycyny- później lekarz w Szczeczeszynie, Roman Kołodziejczyk, Wacław Niechaj student medycyny- późnie lekarz w Lublinie mój ojciec chrzestny.

Kiedy nie pomogło grożenie ojcu zesłaniem do obozu w Berezie Kartuskiej za „nieprawomyślne” działania polityczne, odebrano mu prawo nauczania. Potem spotkało to i moją matkę.

Rodzice nie mogąc nigdzie pracować w wyuczonym zawodzie przyjechali do Szczeczeszyna, w rodzinne strony ojca. Zakupili tzw. resztówkę tj. ileś tam hektarów ziemi po parcelowanym folwarku Ordynacji Zamojskiej Brody Stare, oraz przylegający do niej dom tzw. Szlakówką. Zapewne uratowało to nas od wywiezienia w roku 1940 „na białe niedźwiedzie”, co spotkało pozostałych tam prawie wszystkich naszych znajomych wraz z rodzinami, sprowadzonych, tak, jak i moich rodziców, na kresy wschodnie dla „utrwalania polskośći”: nauczycieli, urzędników administracji terenowej, prokuratorów, sędziów, policjantów, osadników, wojskowych, księży, leśników itp. oficjeli.

Po powrocie do Szczeczeszyna powołano ojca do wojska na kilkumiesięczne ćwiczenia. Odbył je w kancelarii Gen. Olbrychta, dowódcy 3 Dywizji Piechoty w Zamościu, który bardzo sprzyjał endecji. Czy było to zamiast Berezki? Czy ochrona przed Berezką?



Ojciec patriota i dobry organizator już w październiku 1939 r. włączył się w działalności konspiracyjną. Rozprowadzał m.in., jako „oficer ds. BIP”, prasę podziemnej do dalszego kolportażu. Kilkunastoletni chłopak pędził mając „za pazuchą” gazetki do wyznaczonych odbiorców.

Od roku 1944 do 1989 zamiast działalności politycznej przyświecała mu już tylko idea niepodległości. Przez 45 lat w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy zaczynał życzenie świąteczne od ogólnego: Abyśmy doczekali wolnej Polski. I doczekał.

Po roku 1944 wrócił do zawodu nauczycielskiego. Jak pisze Aleksander Przysada w swej książce „Szczepreszyn miasto bogate historią i ludźmi” za poglądy polityczne, krytykę władz za „kołchozy” i usunięcie nauczania religii ze szkół, został w 1953 r. zwolniony z pracy. Powrócił do niej w roku 1957 zrehabilitowany przez Wojewódzką Komisję ds. Rehabilitacji, w cztery miesiące po powrocie Gomółki do władzy. W roku 1964, po wizytacji wizytatorów Kuratorium w Lublinie na lekcji, której tematem był Sienkiewicz, zarzucono mu szerzenie nacjonalizmu i nienawiści do narodów Związku Radzieckiego (chodziło zapewne o Ukraińców) i wysłano na emeryturę.

Do końca życia palił namiętnie papierosy, nie pił alkoholu- nigdy nie widziałem go podchmielonego. Lubił się bawić i tańczyć, wg pań był doskonałym tancerzem, a także wodzirejem na wielu zabawach odbywających się przed wojną w biurach ordynacji w Zwierzyńcu, lub cukrowni Klemensów, a po wojnie na zabawach szkolnych i na spotkaniach seniorów.

Miał czworo dzieci, ale na starość tylko je odwiedzał i oczywiście był odwiedzany, nie było mowy, aby u kogoś z nas zgodził się zamieszkać na stałe. Cały Szczepreszyn to byli jego uczniowie i znajomi, z którymi mogło się pogadać, mieszkały jego siostry i część ich dzieci. Prowadził, jak zawsze, żywe życie towarzyskie i organizacyjne, a także działalność społeczną. Przed wojną przy powołaniu i budowie mleczarni, w roku 1944 organizacji Gimnazjum i Liceum, w którym był kilka lat przewodniczącym komitetu rodzicielskiego. Był prezesem organizacji kombatanckiej AK i to niemalowanym. Nade wszystko jednak, prawie do śmierci, prezesem Koła Seniorów przy domu kultury. Pisze Aleksander Przysiada b. dyr. Liceum Pedagogicznego:

„Na emeryturze dużo pracuje społecznie. Przewodniczy Kołu Absolwentów Seminarium Nauczycielskiego, organizuje wraz z kolegami zjazdy absolwentów, współtworzy książkę Zakłady Kształcenia Nauczycieli i ich wychowankowie. Niezwykłą popularność przynosi mu funkcja prezesa Klubu Seniora przy Miejskim Domu Kultury. Był niemalże wizytówką działalności Klubu. Roman Kołodziejczyk – emerytowany nauczyciel, którego energia i zaangażowanie stały się motorem działania Klubu. Z jego inicjatywy Klub Seniora nawiązał współpracę z podobnymi klubami z Tarnobrodu, Józefowa, Krasnobrodu, Zwierzyńca, Krasnegostawu i Zamościa. Owocem tych kontaktów były wspólne imprezy wypełniające wolny czas emerytów. Wspaniałym przedsięwzięciem okazały się Bale Seniora. Na taki bal – w umówionym miejscu – stawiają się członkowie zaprzyjaźnionych klubów. Często liczba uczestników balu sięga 150 osób. Panowie w odświętnych garniturach a panie w pięknych kreacjach świetnie się bawią, często wspominając swoje młode lata. Suto i pięknie zastawiane stoły – organizujący bal seniorzy wprost się prześcigają w pomysłach nad zestawem menu, aby jak najokazalej przyjąć swoich gości.

Po szesnastu latach prezesowania odszedł na wieczny odpoczynek Roman Kołodziejczyk. Dotąd wszystkim w Klubie brakuje wspaniałego humoru prezesa i wygłaszanych przez niego patriotycznych piosenek i wierszy”.

Wszystko to utraciłby przenosząc się do któregoś z dzieci np. do mnie do Warszawy. Ja z żoną pracowaliśmy, nasze dzieci były w szkole, siedziały sam w domu, w nieznanym mieście.

Do końca życia chciał i był samodzielny. Mieszkał sam w domu, gdzie ze zdobyczy cywilizacyjnych była tylko elektryczność. Nie było gazu, piece były kaflowe i z kuchenką opalane węglem. Ostatnie lata miał już w domu wodę z wodociągu. Dla nas dzieci, z których każde mieszkało w innym mieście: Teresa w Łodzi, Elżbieta w Gdańsku, Irena w Lublinie, a ja w Warszawie, najgorszą niedogodnością był brak telefonu, którego w tamtych czasach nie można było ojcu zainstalować.

Sprawność fizyczna, ale także umysłowa, nie opuszczały ojca aż do śmierci w wieku ponad 91 lat. Również orientacja w terenie, którą chwalił się w swoich wspomnieniach, była godna podziwu. W czasie grzybobrania trzeba było przejść z nim, nie wiedział, co to jest wolne chodzenie, kilka kilometrów po lesie w różnych kierunkach i niezależnie czy świeciło słońce czy nie, bezbłędnie trafiał z powrotem do pozostawionego samochodu.

Na 6 miesięcy przed jego śmiercią, kierowałem wtedy placówką na Białorusi, zadzwoniła do mnie siostra z Lublina, że tato prosi mnie o przyjazd. Zaniepokojony szybko ruszyłem do Szczepieszyna, aby na miejscu dowiedzieć się, że będzie naprawiał płot i potrzebne mu są sztachety. Powiedziałem, że skoczę na Żurawnicę i kupię trochę sztachet. Jaka Żurawnica- usłyszałem. Jedziemy do Tereszpoła, kupię tam sosnę, przetrzemy w miejscowym tartaku i będą sztachety. Cały ojciec.

Pod koniec października znowu zadzwoniła siostra, że tato chce się upewnić czy przyjadę na Wszystkich Świętych i Zaduszki do Szczepieszyna. Był zmieniony, poszarzał na twarzy. On, który zawsze zrywał się, gdy ktoś chciał go podtrzymać, teraz poprosił, aby wziąć go pod rękę i zaprowadzić na cmentarz, na, jak to określał, „rodzinną działkę”, gdzie leżą jego, a teraz i nasi rodzice. Chcąc się kilkanaście minut pomodlić, musiał usiąść na sąsiednim grobie. Zaniepokojony jego stanem poprosiłem dyrektora szpitala, aby go

przyjął. Dyrektor przyrzekł i miała go tam zaprowadzić tzw. pielęgniarka PCK. Jak się potem dowiedziałem odmówił pielęgniarkę- do szpitala miał mniej niż 100 metrów. Droga wyłożona „kocimi łbami” schodziła dosyć stromo w dół i na nieszczęście zaczął padać deszcz. Pośliznął się, uderzył głową w kamień i stracił przytomność. Odzyskał ją po przewiezieniu do szpitala, był jednak, jak to określają neurologi „mózgowcem”- nie poznawał nikogo i był agresywny. Uspokajał się tylko, kiedy go goliłem.

Zmarł po niespełna miesiącu 29.XI.1995 r.



„Nie wiedział, co to jest wolne chodzenie”. Z laską- Roman Kołodziejczyk. Uroczystości akowskie- około roku 1990.